

je na stoliku, poczem siadł spokojnie w fotelu i z całą gorliwością zajął się ich przeglądaniem.

Praca ta trwała może z godzinę i przez ten czas Włodzimierz Bohdan bynajmniej nie zwracał uwagi na swe otoczenie, tylko z pilnością studenta, przygotowującego się do ciężkiego egzaminu, przerzucał karty ksiąg i robił zapiski w swoim notatniku.

Konstancja Jaroszynowa usiadłszy tymczasem w wielkim fotelu koło kominka, wpatrywała się bacznie w twarz młodego człowieka, ale nie nie zdołała w niej wyczytać, bo Włodzimierz Bohdan miał tę zaletę, że zawsze umiał przystroić swe oblicze w wyraz zupełnej obojętności.

Na koniec Włodzimierz zamknął głośno ostatnią księgę, schował notatnik do kieszeni i podniósł się z krzesła.

— Otwórzcie mi teraz wszystkie przegrody w tej szafie — odezwał się rozkazująco do starego sługi, poczem szybko przeglądał zachowane tam papiery i zwrócił się ku Konstancji Jaroszynowej. Dziękuję pani! Chciałbym jeszcze zrewidować biurko. Ten stary antyk zapewne ma dość kryjówek i schowków i tu może odnajdziemy coś ciekawszego...

Na znak dany przez panią, służący w milczeniu pootwierał wszystkie szuflady i Włodzimierz z pedantyczną skrupulatnością zaczął przepatrywać ich zawartość. Szło mu to ogromnie szybko i sprawnie.

A jednak znów godzina upłynęła i Włodzimierz Bohdan musiał sobie w duchu powiedzieć, że jeszcze nie znalazł nic takiego, coby istotnie mogło mu posłużyć za wskazówkę w sprawie tajemniczego zniknięcia Borysa Jaroszyńskiego. Z kolei więc zaczął epukiwać biurko, jak lekarz chorego pacjenta.

— Tu coś jest! — rzekł w końcu z uśmiechem zadowolenia.

I nie pytając się nawet o pozwolenie dobył z kieszeni małe dłuśko z prawdziwej angielskiej stali. Równocześnie prawie wśród ciszy, jaka panowała w pokoju, rozległ się trzask złamanego zamku i po chwili z tajemniczej kryjówki Włodzimierz dobył spory plik papierów.

— No! więcej tam już nic niema! — uśmiechnął się wesoło.

A Konstancja Jaroszynowa z osłupieniem wpatrywała się w tę garść różnokolorowych, silnie pachnących papierów, które młody detektyw trzymał w ręku. Ona sama nie miała nigdy pojęcia o ich istnieniu.

Włodzimierz Bohdan zajął się tymczasem systematycznym ich układaniem. Nie było to nic innego, jak tylko z półtora tuzina listów miłosnych ostatniej doby, jawny dowód, że Borys Jaroszyn nie grzeszył wcale wiernością małżeńską.

Detektyw spojrzał na Konstancję Jaroszynową i dostrzegłszy trupią błądź, jaka okryła jej oblicze, odrązu postanowienie, co ma uczynić.

— Zdziwiłem się! — szepnął — tu nic a nie ciekawego nie ma!

— Co zawierają te listy? Pokaż je pan — rzekła szorstko Jaroszynowa.

Ale detektyw złożył wszystkie listy razem, szybko podszedł do kominka, na którym stały zapalniczki i świece. Zanim Konstancja Jaroszynowa zorientowała się, co on robi, Włodzimierz szybko zapalił świecę i przytknął do płomienia plik listów. Śwąd spalonego papieru rozszedł się po pokoju i niebawem tylko kupka popiołu świadczyła o istnieniu tych zdradliwych listów.

— Co pan zrobiłeś? — zawołała oburzona Konstancja — dlaczego pan...

— Pani mi wybaczy — rzekł spokojnie Włodzimierz — ale listy te zawierały osobistą tajemnicę Borysa Jaroszyńskiego, tajemnicę, która mogłaby sprawić pani przykrość, gdybyś ją poznała. Dość już pani cierpisz i nie trzeba zwiększać twej boleści. Wiem o tem i dlatego postąpiłem tak, a nie inaczej. Sądzę, że zrobiłem dobrze i pani nie masz potrzeby gniewać się za to na mnie...

— Rozumiem! — szepnęła Jaroszynowa przygryzając wargi — chodzi tu o jakąś miłośćkę męża! Powiedz mi pan, czy ona ma coś wspólnego z jego zniknięciem?

— Nie, pani! zaręczam, że te listy ze sprawą, jaka obecnie nas zajmuje, nie mają nic wspólnego. A teraz przepraszam, bo chciałbym jeszcze przeszukać tę szafę w kącie...

Konstancja Jaroszynowa nie rzekła już ani słowa.

W dwadzieścia minut później, Włodzimierz Bohdan załatwił się już z swą robotą, ale nie mógł powiedzieć, żeby był z niej zadowolony.

Włodzimierz Bohdan żył skromnie, ale też nigdy niczego mu nie brakło. Lecz marzył zawsze

o tem, aby dorobić się majątku, aby jego matka mogła na starość odpocząć. To też gdy policmajster powiedział mu o co chodzi i że za rozwiązanie zagadki wyznaczono dziesięć tysięcy rubli nagrody, powiedział sobie:

— Albo zginę, albo dostanę morderców w me ręce!

To samo powtórzył, opuszczając późną nocą dom Jaroszynów. A praca, jaką przedsiębrał była ogromna. Bez żadnych poszlak, bez żadnych wskazówek musiał rozpocząć poszukiwania.

Wracając do domu, przemysłował tylko nad tem, w jaki sposób odkryć ślad Jaroszyńskiego i gdzie kupiec mógł się udać z Granowską.

Ale gdy stanął przed małym domkiem nad Nową, który zamieszkiwał wraz z matką, twarz jego przybrała znów maskę obojętności, a nawet usta złożyły się do wesołego uśmiechu.

Matka nigdy nie powinna była wiedzieć, czem się trudni jej syn jedyny, najukochańszy i jakie mu wciąż zagraża niebezpieczeństwo...

### Wydarta chłodnym falam Newy.

Na drugi dzień Włodzimierz Bohdan znikł z Petersburga. Na godzinę przed swym wyjazdem był



Włodzimierz szybko zapalił świecę i przytknął do płomienia plik listów...

jeszcze na posłuchaniu u księcia Stefana Teodorowicza. O czem jednak mówili, tego nikt nie wiedział, a nawet nie domyślał się wcale. Natomiast Konstancja Jaroszynowa otrzymała mały bilecik od tajnego detektywa i bilecik ten schowała do ogniotrwałej kasy w pracowni męża.

Po trzech dniach Bohdan powrócił i w tej chwili wprost z dworca kolejowego podążył do policyi. Gdy tylko dał znać o swoim przybyciu policmajster zawiadzał go do siebie i znów rozmawiał z nim bez świadków.

W godzinę później młody człowiek z chmurą na czole kroczył bocznymi uliczkami stolicy. Trzy dni pracy, trzy nieprzespane noce nie przyniosły żadnych pozytywnych rezultatów. Z początku nawet Włodzimierz miał szczęście.

Trafił na ślad Borysa Jaroszyńskiego. Dowiedział się, że kupiec wyjechawszy wśród strasznej zawiści śnieżnej z Granowską, dotarł do najbliższej osady chłopskiej, stamtąd zaś odesławszy woźnicę z powrotem do miasteczka, sam dalej ruszył piechotą, bo w osadzie nie było koni.

Ale gdzie poszedł? dokąd się skierował?

Wszelki ślad od tej chwili zaginął i Włodzimierz Bohdan nie mógł nic wysledzić.

Zwykła obojętność opuściła go. Nerwy zaczęły w nim grać, a przecież tylko zimna krew mogła mu dopomóc w poszukiwaniach.

Że Borys Jaroszyn został gdzieś na uboczu zamordowany, o tem już nie wątpli. Ale gdzie? kto był tym zbrodniarzem? gdzie podział się trup zamordowanego?

Policmajster głuchym milczeniem odpowiedział na raport Włodzimierza. Widocznie nie był zeń zadowolony. Tak, niema wątpliwości, że nie był zeń zadowolony, bo przecie na pożegnanie oświadczył mu z szyderczą ironią, że wysłał na poszukiwania dwunastu innych agentów i do tygodnia mordercę Borysa Jaroszyńskiego będzie mieć w ręku!

Pozwolił jednak, żeby Włodzimierz dalej zajmował się tą sprawą. Lecz dając to pozwolenie, uśmiechnął się tak złośliwie, że Włodzimierz odczuł, iż policmajster stracił już doń dawne zaufanie.

Myśląc o tem, młody detektyw zaciskał pięści. Jakto? więc teraz dopiero, po pięciu latach pracy, po pięciu latach tryumfu, miała mu się noga poślizgnąć?

Włodzimierz nie miał się przed kim zwierzyć, nie miał spytać kogo o radę, bo nie miał przyjaciół, wiedział jednak dobrze, że nie miałby już co robić przy policyi i musiałby prosić o dymisję, gdyby któremuś z tych dwunastu agentów przypadkowo udało się wpaść na trop Borysa Jaroszyńskiego. I ta myśl dręczyła go niezmiennie.

— Przysięgłbym — myślał — że Borys Jaroszyn zginął gdzieś w okolicy Granowskiej. To też nie przyłączył się do moich kolegów, którzy pewnie według rozkazu księcia podzielił całą przestrzeń na rewiry, ale będzie szukać na własną rękę!...

I z tem silnem postanowieniem przyszedł do domu.

Staruszką matką przyjęła go radośnie. Wiedziała ona, że jej syn służy przy policyi, ale niedomyślała się wcale, że zajmował tak niebezpieczne stanowisko. Gdy Włodzimierz wyjeżdżał z Petersburga, mówił, że zmuszają go do tego obowiązki służbowe.

Tak samo było i teraz. Tylko, że teraz staruszką wpatrując się w twarz syna i w jego posępne czoło, odrązu poznała, że mu coś dolega.

Chciałagowybadać, chciała dowiedzieć się, co mu leży na sercu, ale daremnie. Włodzimierz cały wieczór ani słówkiem nie wspomniał jej o niczem.

Całą noc spędził zaś w swym pokoju bezsenność i ostatecznie po długich namysłach nakreślił sobie nowy plan działania. Na drugi dzień przy śniadaniu, matka widząc jego niewyspane oczy i błądź twarzy, zapytała otwarcie:

— Co ci to mój synu, co ci dogryza mój sokoł?

Włodzimierz schylił się i złożył gorący pocałunek na jej ręce.

— Nie pytaj matko lepiej; nie pytaj! Służba nie drużba i więcej w niej przykrości, jak przyjemności... ot, i znowu muszę w drogę!...

— Wyjeżdżasz?!...

— Muszę matko! muszę! przecież chyba to nie pierwszy raz, że cię porzucam i ruszam w dalekie strony.

Po śniadaniu Włodzimierz wziął trochę bielizny do małej ręcznej torebki, ukradkiem schował do kieszeni śliczny rewolwer ostro nabity i pożegnawszy się czule z matką wyszedł z domu.

Po ośmiu dniach zjawił się znów w Petersburgu, ale twarz jego była jeszcze bledsza, jeszcze większa chmura zagościła na jego czole, a w ciemnych źrenicach gorzały bez przerwy jakieś chorobliwe blaski.

C. d. n.